

# KOPIOWAĆ I NAŚLADOWAĆ

**pierwsze dni  
w szkole z internatem**

W 1879 roku wolne życie mojego ludu skończyło się; odtąd byliśmy przypisani do rezerwatów, zdany na łaskę agentów. Pewnego dnia do agencji przyjechała grupa białych ludzi ze Wschodu. Ich obecność wywołała znaczne poruszenie, gdy wyszło na jaw, że są to nauczyciele, którzy chcą zabrać ze sobą do pociągu indiańskie dzieci i traktować je tak samo jak białe.

Choć ojciec był tylko „Indianinem w kocu”, postąpił bardzo mądrze. Wysłuchał białych przybyszów, ich propozycji i obietnic, że jeśli zabiorą jego syna, to będą się o niego troszczyć, nauczą go czytać i pisać, i nosić ubrania białych. Dla ojca były to jedynie „piękne słówka”. Wiedziałem, że był pełen obaw, gdy zostawił mi podjęcie decyzji i spytał, czy mam chęć jechać z tymi ludźmi. Podobnie jak reszta plemienia byłem nieufny wobec białych i oczywiście wiedziałem, że mimo niepokoju, ojciec był dumny ze mnie, gdy usłyszał: „Tak”. Znaczyło to, że jestem wojownikiem.

Nie umiałem znaleźć innego powodu, dla którego białym ludziom potrzebne były indiańskie dzieci, jak tylko po to, żeby je zabić. Nie miałem też zielonego pojęcia, co to jest szkoła, i myślałem, że jedziemy na Wschód, żeby zginąć. Lecz tak mocno wpajano nam odwagę i męstwo, że stały się częścią naszego podświadomego myślenia i działania. Życie osobiste nie miało znaczenia, gdy chodziło o zrobienie czegoś dla plemienia. Nawet podczas zabaw i gier dobrowolnie wystawialiśmy się na różne próby, aby ćwiczyć się w nabie-

raniu odwagi, gdyż najgorszym przewzwickiem było *can'l wanka*, czyli tchórz. Choć zawsze znajdowało się paru tchórzliwych, to większość Lakotów wołała zginąć, dokonując odważnych czynów, aniżeli umrzeć ze starości. Decydując się jechać na Wschód, udowodniłem ojcu, że ma dzielnego syna, przez co zyskiwał szacunek. Podejmując decyzję o wyjeździe, musiałem porzucić wiele rzeczy bliskich sercu indiańskiego chłopca. Jedną z nich, nad czym ubolewała moja dziecięca dusza, było pożegnanie się z koniem. Jechałem na nim najdalej, jak mogłem, aż do Missouri, gdzie wsiedliśmy na statek. Tam rozstaliśmy się z rodzicami, była to scena rozdzierająca serce, kobiety i dzieci płakały. Kilkoro dzieci zmieniło decyzję i nie weszło na pokład, ale dla wielu innych było to ostateczne rozstanie.

W drodze do szkoły widzieliśmy wielu białych ludzi, znacznie więcej, niż mogliśmy sobie wyobrazić. Ich sposób zachowania się wobec nas zdradzał, co o nas myślą. Od bitwy z Custerem minęło zaledwie 3 lata i powszechnie uważano, że ludy z Równin były utrapieniem tej ziemi, że nasza obecność była ewidentną pomyłką Wakan Tanka. Na każdej stacji, na której zatrzymywał się nasz pociąg, czekał tłum białych, którzy przyszli gapić się na małych indiańskich „dzikusów”. Nieśmiało maluchy siedziały cicho za szybą i patrzyły na ludzi tłoczących się na peronie. Niektóre nakryły się kocami, zostawiając tylko małą szczelinę na oczy. W jakimś miejscu zabrano nas z pociągu i pomaszzerowaliśmy ulicą do gospody. Szliśmy ulicą między dwoma rzędami ludzi w mundurach, których nazywaliśmy żołnierzami, choć sądzę, że byli to policjanci. Pewnie dla naszej ochrony, bo przecież było jasne, że my, chłopcy i dziewczęta, nie wyrażymy niczego złego. Za tymi umundurowanymi stali biali ludzie, wyciągali szyje, rozmawiali, śmiali się, wywołując wielki zgiewk. Pokrzykiwali i próbowali naśladować coś, co uważali za nasze okrzyki wojenne. Nie podobało nam się to i niektóre dzieci były oczywiście bardzo wystraszone. Pamiętam, jak próbowałem wcisnąć się w ochronny tłum rozpychających się dzieciaków. Lecz wszyscy usiłowaliśmy być dzielni, idąc ku temu, co – jak myśleliśmy – zakończy się śmiercią z ręki

białych ludzi, którzy nie mieli dla nas miłości. Gdy wróciliśmy do wagonów, starsi chłopcy zaśpiewali pieśni o odwadze, chcąc podtrzyma- mać swego ducha, i naszego też. Często przypomina mi się ta scena – osiemdziesię- cioro zawiniętych w koce chłopców i dziewcząt, masze- rujących ulicą w otoczeniu szydzących, niesympatycz- nych ludzi, których jedynymi uczuciami były nienawiść i strach; zwycięzcy spogląda- jący na zwyciężonych. Bez większego zrozumienia dla nas, jakbyśmy się nagle ur- wali z księżycą.



Grupa dziewcząt przybyłych do szkoły w Carlisle

W końcu w Carlisle zaczął się proces trans- formacji, „cywilizowania”. Zaczęło się od ubrania. Nigdy, bez względu na naszą filozo- fię czy przymioty ducha, nie mogliśmy się ucywilizować, nosząc mokasyny i koc. Zada- nie, jakie nam postawiono, polegało nie tylko na przyjęciu nowych idei i nabraniu ogłady, ale na cierpliwym znoszeniu zmian fizycz- nych i niewygod, aż ciało przyzwyczai się do nowych smaków i zwyczajów. Zabrano nam dotychczasowe ubrania i dano w zamian tak- ie, które było niepraktyczne i niewygodne. O spodniach i chustkach do nosa mieliśmy odrębne zdanie – były niehigieniczne, a spod- nie ponadto przeszkadzały w oddychaniu. Wysokie kołnierzyki, sztywne, przylegające do ciała koszule i szelki, szerokie na trzy cale, były niewygodne, zaś skórzane buty wywo- ływały prawdziwe katusze. Tęskniliśmy do chodzenia boso, ale powiedzieli nam, że od rosy na trawie przeziębimy się. To było coś nowego, ponieważ matki nigdy nie ostrzegały nas przed zimnem. Pamiętam, że jako dziecko wpadałem do tipi w mokasynach pełnych śniegu. Beztrosko zdejmowałem je, wysypy- wałem śnieg i zakładałem z powrotem, nie myśląc o chorobie, ponieważ w owych czasach przeziębienie, katar, bronchit i grypa były nie- znane. Wkrótce mieliśmy je jednak poznać.

Potem dali nam bieliznę z czerwonej flaneli i wtedy niewygodą stała się prawdziwą tor-

turą, przynajmniej dla mnie. Znosiłem ją naj- dłużej, jak mogłem, potem biegłem schodami na górę, szybko ściągałem flanelę i chowa- łem. Gdy zbliżał się czas inspekcji, biegłem ubrać ją znowu, bo wiedziałem, że za nieprze- strzeżenie regulaminu szkoły zostanę ukara- ny. Siostrzenica spytała mnie raz, czego najbardziej nie lubiłem na początku tych trud- nych czasów.

– Czerwonej flaneli – odparłem bez wahania.

Zaśmiała się, choć nie wiedziała, co mam na myśli, ale ja ciągle pamiętam tę wstrętą, lepiącą się do ciała odzież, którą musieliśmy nosić na gołej skórze. Na samą myśl zaczyna mnie swędzić ciało. Rzecz jasna ścięto nam włosy i wtedy było jeszcze gorzej. Była to jednak część procesu transformacji i w jakiś tajemniczy sposób długie włosy stały na przeszkodzie naszego rozwojowi. Z powodu pomruków wśród starszych chłopców, wkrótce wygolono nam głowy. Jakże dziwnie się czu- łem! Co jakiś czas ręce mimowolnie dotykały głowy, a tej nocy długo nie mogłem zasnąć. Gdyby od początku wszystko nie było dla nas nowe, nie dziwilibyśmy się tak bardzo, jak myślę. Wszystko było dziwaczne i musiało minąć parę miesięcy, nim przystosowałem się do nowego środowiska.

Prawie natychmiast zmieniono nam imiona, nadając nowe, używane powszechnie w języ- ku angielskim. Zamiast przetłumaczyć nasze

imiona na angielski i wołać nas Zinkcaziwin, Yellow Bird, albo Wanbli K'leska, Spotted Eagle, co samo w sobie byłoby bardzo kształcące, byliśmy po prostu Johnem, Henrym, albo Maggie, zależy, co komu przypadło. Kazano mi wziąć wskaźnik i wybrać sobie imię z listy na tablicy. Zrobiłem to, i – choć każde imię było równie dobre, na dodatek i tak nie widziałem między nimi różnicy – umieściłem wskaźnik na imieniu Luther. Najpierw sam nauczyłem się je wypowiadać, potem słuchałem, jak inni wołają mnie tym imieniem.

W owym czasie był zakaz mówienia naszym językiem ojczystym, co było regułą we wszystkich szkołach z internatem. Nic nie usprawiedliwia tej reguły i dzisiaj nie tylko okrada się Indian, ale i całą Amerykę z bogatego dziedzictwa. Język ludzi jest częścią ich historii. Dziś powinniśmy historię przechowywać w pamięci, zamiast ją niszczyć, a można tego dokonać jedynie poprzez zachęcanie młodych do jej pielęgnowania. Język nieużywany, zabalsamowany, przechowywany jedynie w książkach, jest językiem martwym. Tylko sami ludzie, a nie naukowcy, mogą przywrócić język do życia.

Ze wszystkich zmian, na które musieliśmy się zgodzić, jedzenie było bez wątpienia najbardziej szkodliwe, ponieważ przyszło to nagle i bez odwołania. Na pierwszy posiłek był biały chleb, a potem także kawa i cukier. Gdyby nam pozwolono zachować własną dietę złożoną z mięsa, gotowanego w zupie, jak i suszonego, oraz owoców, i może z odrobiną warzyw, to byśmy się dobrze rozwijali. Jednak zmiana ubioru, mieszkania, jedzenia, a także odosobnienie, połączone z samotnością, to było już za dużo i w ciągu trzech lat prawie połowa dzieci z Równin nie żyła i miała spokój ze wszystkimi szkołami na ziemi. Na cmentarzu w Carlisle najwięcej jest dziecięcych grobów.

Chcę teraz wyznać, że spędziłem w Carlisle cały rok, zanim postanowiłem nauczyć się możliwie wszystkiego o stylu życia białego człowieka. Inspiracją był mi ojciec, człowiek, który miał największy wpływ na moje życie. Po roku pobytu w szkole ojciec wybrał się w odwiedziny do mnie. Gdy otrzymałem zezwolenie na rozmawianie z nim [w języku

Siuksów], powiedział mi, że w podróży zobaczył, iż na tej ziemi jest pełno „długich noży”.

– Liczebnością biją nas na głowę i już tu zostaną – powiedział. – Synu, ucz się wszystkiego, co tyło zdołasz o stylu życia białego człowieka i spróbuj być jak on.

Od tego dnia nie ustawałem w wysiłkach. Tych kilka słów ojca pamiętam tak dobrze, jakbyśmy rozmawiali nie dalej niż wczoraj. Będąc już dojrzałym mężczyzną, rozmyślałem o tym, co mi powiedział. On nie powiedział, że jego zdaniem styl życia białego człowieka jest lepszy od naszego, ani też, że mogę być białym człowiekiem. On powiedział: „Synu, próbuj być jak biały człowiek”. W ciągu dwóch następnych lat byłem już „gotów”. Byłem Lutherem Standing Bear, nosiłem niebieski mundurek szkolny, chodziłem strzyć włosy i próbowałem wyrobić sobie naturalny chód w butach ze skóry, o sztywnej podeszwie. Byłem na tyle „ucywilizowany”, że mogłem podjąć pracę w wielkim sklepie Johna Wanamakera w Filadelfii.

Wróciłem ze Wschodu mniej więcej w wieku lat szesnastu, po pięcioletniej styczności z białymi ludźmi, by znowu żyć w rezerwacie. Wróciłem, aby spędzić w nim trzydzieści lat, zanim znow go opuściłem, tak samo jak z niego wyjeżdżałem – jako Lakota.

Na pozór żyłem jak biały człowiek, ale cały czas utrzymywałem bliski kontakt z plemieniem. Gdy uczyłem się o kulturze białego człowieka, nigdy nie zapomniałem zwyczajów mego ludu. Zachowałem język, obyczaje i praktyki, śpiewałem i tańczyłem. Ciągłe słuchałem i szanowałem starszych w plemieniu. Nie byłem tak „postępowy”, abym po powrocie nie umiał mówić językiem moich rodziców. Nie nabyłem nałogów żucia tytoniu, palenia papierosów, picia i przeklinania, i bardzo się z tego cieszę. Zresztą, nigdy nie osiągnąłem takich „postępów”.

Wkrótce jednak zacząłem dostrzegać smutne rzeczy, tak powszechne dzisiaj. Widziałem powracających uczniów, którzy nie potrafili mówić swym językiem lub, co gorsza, takich, co to udawali, że już nie potrafią mówić w ojczystym języku. W szkole wyśmiewano ich zachowanie i to spowodowało, że zaczęli się sami oszukiwać. Chłopcy wracali do domu



EDUCATING THE INDIANS. A FEMALE PUPIL OF THE GOVERNMENT SCHOOL AT CARLISLE VISITS HER HOME AT PINE RIDGE, S.D. (From a sketch by a Commissioner Indian.—See page 20.)

Uczennica ze szkoły w Carlisle wraca do rodzinnego rezerwatu Pine Ridge.

Ilustracja na okładce czasopisma z 1884 roku.  
Library of Congress, cph.3c00543

w sztywnych kołnierzykach, ciasnych lakierkach i melonikach na głowie. Dziewczęta zaś w muślinowych sukienkach, przepasanych długimi wstążkami w pastelowych kolorach. Staraly się wcisnąć stopy w fabryczne pantofle na obcasie, a tulów w gorset ze sznurkami, który nie spełniał żadnej funkcji garderoby. Jednak noszenie gorsetu należało do cywilizacji, zaszczyconej przez tych, którzy robili tak samo. Do szkoły pojechalśmy więc po to, aby kopiować i naśladować, a nie po to, żeby wymieniać się językami i ideami, żeby rozwijać najlepsze cechy wywodzące się z niezliczonych doświadczeń setek i tysięcy lat życia na tym kontynencie. Nasze kroniki, wszystkie ważne zdarzenia, zawierają się w pieśniach i tańcach, nasza historia różni się tym, że nie spoczywa w książkach, ale w żywej pamięci. Biali ludzie chcieli nas wiele nauczyć, ale

i my mogliśmy ich wiele nauczyć. Po to właśnie powinno się zakładać szkoły! Jednak w owych czasach nie było takiego klimatu, chociaż nauczyciele byli sympatyczni i mili, a niektórzy stali się moimi przyjaciółmi na całe życie. Ogólnie jednak nie zwracano uwagi na indiańskie wartości, ani też nie zastanawiano się nad indiańskimi cnotami. Za to dobrze pamiętam, że w owych czasach do Indian na ulicy rzucano kamieniami, jak do wałęsających się psów. Byliśmy „dzikusami” i wszyscy, którzy nie chodzili do misjonarzy, byli „poganami”, zaś Wakan Tanka, który od początku opiekował się Lakotami i ich ziemią, został odrzucony przez te boże sługi. Czy to raczej nie my powinniśmy myśleć o nich jak o poganach? Proces „cywilizowania” trwał więc dalej, zabijając nas przy okazji.

Kiedy wróciłem do rezerwatu, było już za późno na wstąpienie na wojenną ścieżkę, żeby udowodnić moim ludziom, że jestem prawdziwym wojownikiem. A jednak i tam toczyłem bitwę mego życia – bitwę z agentami o zachowanie własnej indywidualności i lakockiego stylu życia. Chciałem uczestniczyć w plemiennych tańcach, śpiewać pieśni, które słyszałem, odkąd się urodziłem, powtarzać i pielęgnować opowieści, którymi zachwycałem się w młodości. To dzięki temu właśnie mój lud żył i chciał żyć dalej, dlatego też ja chciałem zachować to wszystko w pamięci.

Co jakiś czas Lakoci urządzali tańce w starym stylu i ja brałem w nich udział. Choć miałem ścięte włosy i nosiłem cywilne ubranie, to nigdy nie porzuciłem koca. Żaden płaszcz, jaki kiedykolwiek nosiłem, dla wygody, nie mógł mi zastąpić koca. Tak samo z mokasynami, które są praktyczne, wygodne i piękne. Oprócz tego, zalecali je ludzie, którzy tańczyli – nie dla rozrywki, ekscytacji czy mody, ale dlatego, że mieli taką wrodzoną potrzebę. Nawet gdy uczyłem się u misjonarzy, chodziłem na plemienne tańce. ❖

przeł Marek Maciołek

Reprinted from *Land of the Spotted Eagle* by Luther Standing Bear by permission of the University of Nebraska Press. Copyright, 1933 by Luther Standing Bear. Renewal copyright, 1960, by May Jones.